

Beksiński, nie rozklejaj się

Dobry i uczynny, robił wiele, żeby zostawić go w spokoju. Maniakalny perfekcjonista, żył w ustroju bałaganiarskim i nauczył się poruszać w nim jak kret z opowiadania Kafki.

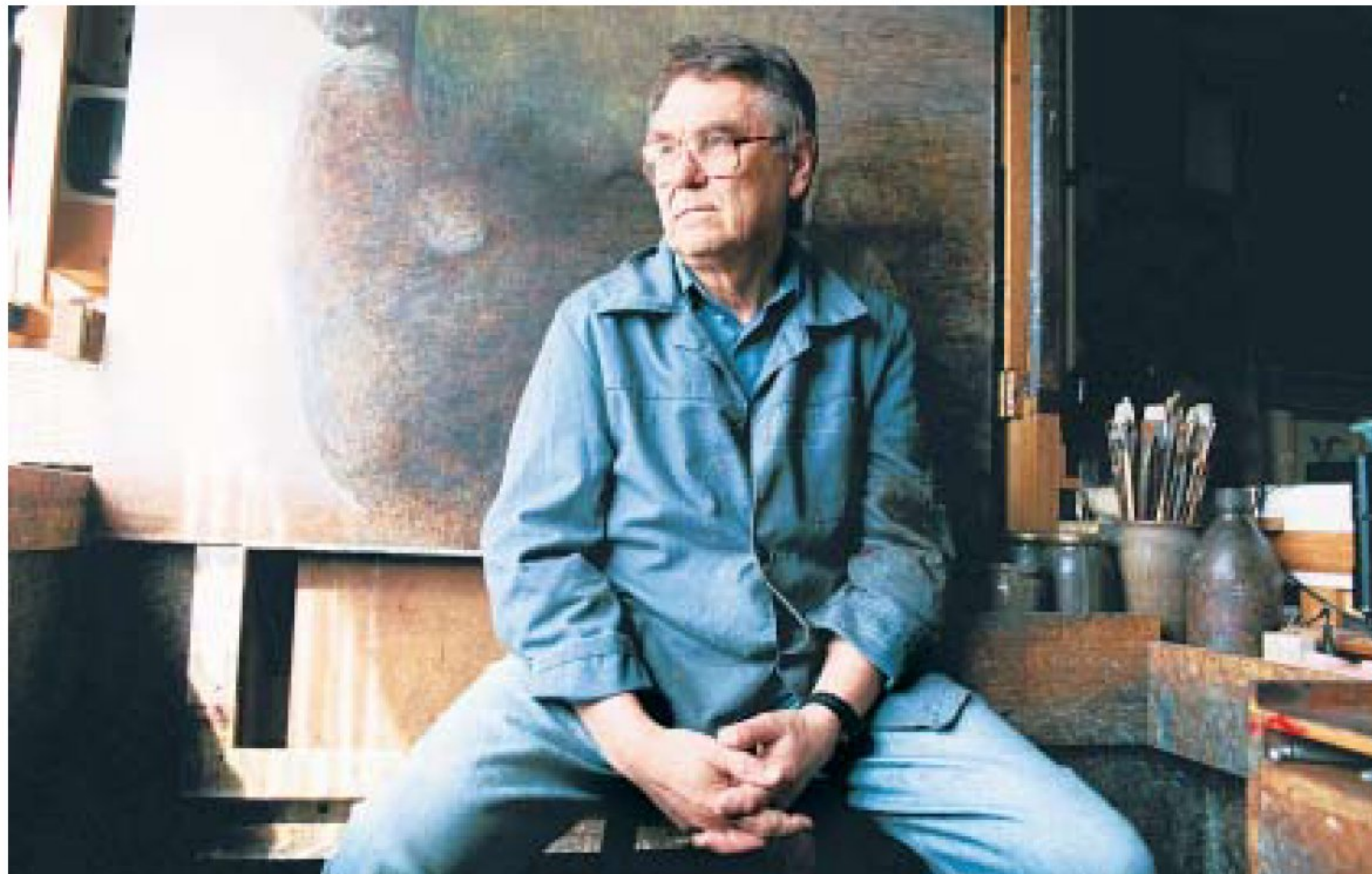
Ukazały się dzienniki zamordowanego 11 lat temu malarza.

TADEUSZ NYCZEK

Kompletna zagłada rodu Beksińskich w ciągu kilku lat była - i chyba nadal jest - jednym z tych wydarzeń, które uchodzą za nieprawdopodobne, gdyby nie zdarzyły się naprawdę. Najwcześniej odeszła Zofia, żona Zdzisława i matka Tomka, przemiła, uśmiechnięta i wiecznie zatroskana kobieta nadzwyczajnej urody. Kiedy umierała na tętniaka pod koniec września 1998 r., miała lat 70, co wydawało się niewiarygodne - wciąż wyglądała na o połowę młodszą. Tomek, syn, świetny tłumacz filmowych dialogów i dziennikarz muzyczny, popełnił samobójstwo w Boże Narodzenie 1999 r. Zdzisław, znany malarz, został zamordowany sześć lat i dwa miesiące później.

Za życia Zdzisława poza rodziną i przyjaciółmi nikt nie zajmował się jego osobą, bo nie było specjalnie czym. Uchodził za odludka, trochę dziwaka. Niechętnie wychodził z domu, nikt go nie widział w restauracji ani na cudzym wernisażu, nawet na własne chodził z rzadka i z oporami. W życiu nie był za granicą. Odmawiał orderów i honorów. Udzielał, owszem, wywiadów, ale pytany był głównie o swoje dosyć szokujące malarstwo, które jednych zachwycało, innych odstręczało.

Kiedy 21 lutego 2005 r. zabił go kilkunastoma ciosami nożem znajomy kilkunastoletki namolnie domagający się niewielkiej pożyczki, nagle wszyscy zaczęli się interesować osobą artysty. Czy na pewno zginął tak bardzo bez sensu? Może tkwiła w tym jakaś tajemnica? A w ogóle kim naprawdę był ten jowialny okularnik malujący takie straszne rzeczy? Może samym wysłannikiem piekiel, bo przecież nikt normalny nie mógłby malować kościotrupów, pustych krzyży na wietrze, upiornych scen z sennych majaków. I tak za-



Zdzisław Beksiński w 1996 r. Dwa lata później zmarła jego żona, trzy lata później - syn popełnił samobójstwo

częło się życie pośmiertne malarza, dziś, 11 lat po jego śmierci, zajmujące publiczną uwagę znacznie bardziej niż jego sztuka. Krytycy przestali go lekceważyć, bo w ogóle przestal ich obchodzić. Kiedy Nowohuckie Centrum Kultury w Krakowie otworzy jeszcze w tym roku stałą galerię jego imienia, można będzie spokojnie uznać, że śp. Zdzisław Beksiński zasilil grono muzealnych żywych trupów.

Wszystko dla Sanoka

Upomniała się o niego za to literatura. Dwa lata temu Magdalena Grzebałkowska z reporterską werwą opisała życie ojca i syna w głośnej biografii „Beksińscy. Portret podwójny”. W ubiegłym roku wyszły odnalezione w archiwach „Opowiadania” malarza. Teraz wydano spisane głównie z domowego komputera „Dzienniki” artysty, poprzedzone obszerną rozmową z Wiesławem Banachem, dyrektorem Muzeum w Sanoku, gdzie znajduje się największy zbiór dzieł Beksińskiego.

Wolę mieć to z głowy, dlatego zaczynam od pretensji. Książka urąga wszelkim zasadom redakcyjnym. Podpisujący się jako „wydawca” Jarosław Mikołaj Skoczeń zastrzega we wstępie, że „ze względu na wiele emocjonalnych wątków tej historii (...) staraliśmy się do minimum ograniczyć prace redakcyjne. Nie zostały im poddane fragmenty dzienników oraz wypowiedzi spisane z taśm wideo”. Za co w takim razie wydawca „moją pracę przy tej książce” dedykuje „Mamie, Tosi i Czarkowi, Edycie i Krzysiu, Basi i Staszku”, dziękując przy okazji kilkunastu jeszcze innym osobom? Za to, że coś spisał bez zredagowania? Z mnóstwem błędów ewidentnie domagających się korekty (Beksiński był

dyslektykiem i pomimo wysiłków nie udawało mu się wszystkiego poprawić). Z brakiem komentarza o liczbie i rodzaju opuszczeń w opublikowanym dzienniku. Wreszcie, co najważniejsze, bez przypisów, wręcz tu niezbędnych. Autorzy w dziennikach osobistych zazwyczaj nie bawią się w wyjaśnianie, kto jest kto i do czego to czy tamto się odnosi. Beksiński poruszał się w dosyć wąskim kręgu przyjaciół i znajomych, osób raczej mało publicznych, a kto w tym kręgu nie był, nie będzie miał pojęcia, o kim i często o czym mowa.

Szczęśliwie niektóre sprawy wyjaśnia rozmowa Skoczenia z Banachem. Banach poznał Beksińskiego jeszcze jako student historii sztuki. Obaj byli związani z Sanokiem, a kiedy Beksińscy w 1977 r. przeprowadzili się do Warszawy, Banach w tym samym czasie został dyrektorem Muzeum w Sanoku, już wtedy dysponującego niezłą kolekcją prac malarza. Kolekcja była w następnych latach solennie uzupełniana, a gdy malarz po śmierci żony i syna został praktycznie bezspadkobiercą, powierzył w testamencie wszystko, co po nim zostało, właśnie sanockiemu muzeum.

Kontrahenci zaopatrują imperium

Banach wie o Beksińskim bardzo dużo, choć nigdy nie był bezkrytycznym wyznawcą jego sztuki. I jeśli jest na świecie ktoś, kto w tej chwili prawdziwie żyje dla Beksińskiego i jego dzieła, jest nim właśnie on. Wydaje albumy, urządza wystawy, porządkuje archiwum. Przy tym jego wiedza o Beksińskim jest nie tylko imponująca, ale także rozsądna, choć używanie rozsądku w przypadku kogoś takiego jak Beksiński to sprawa trochę ryzykowna. Mamy w końcu do czynienia z osobowością wyjątko-

wo powikłaną wewnątrz i trudną do jednoznacznego uchwycenia.

Nawet, ci, którzy go dobrze znali, mieli świadomość, że Beksiński uprawia z całym światem pewien rodzaj gry niełatwej do zracjonalizowania, bo większość reguł była ukryta, a słowa więcej myliły, niż nazywały. Pod wieloma względami był nieodrodnym wychowankiem - i zarazem antytezą - jednego ze swoich ulubionych pisarzy, Witolda Gombrowicza. Gombrowicz jawnie prowokował ludzi do rozgrywek na własnych zasadach; Beksiński, jak mógł, tak unikał kontaktu z rzeczywistością, wytwarzając na użytek innych kolorowe mgły mające ukryć grę prowadzoną ze światem niejako pod stołem. Obaj byli przy tym skrajnymi indywidualistami poszukującymi wolności absolutnej. Różniło ich jeszcze to, że Gombrowicz miał poczucie misji - wobec Polaków czy człowieka w ogóle, Beksiński zaś był ostatnim człowiekiem na ziemi, który chciałby kogokolwiek do czegoś przekonać, łącznie z własną twórczością. Niczego nie oczekiwał - z wyjątkiem tego, żeby inni nie oczekiwali czegoś od niego.

Był chodzącym paradoksem. Dobry, życzliwy i uczynny, robił wiele rzeczy po to, żeby zostawić go w spokoju. Maniakalny perfekcjonista, żył w ustroju bałaganiarskim i dziurawym, jak rzszoto, nauczył się więc poruszać w nim jak kret ze znanego opowiadania Kafki. Zbudował sobie podziemne korytarze, gdzie mógł się czuć bezpiecznie, a do współpracy w budowaniu podziemnego imperium bez skrupułów wciągał wszystkich, którzy mogli mu pomóc przeżyć.

Ponieważ socjalizm nie zapewniał wielu niezbędnych Beksińskiemu dóbr - płyt z muzyką, jaką kochał, aparatu-

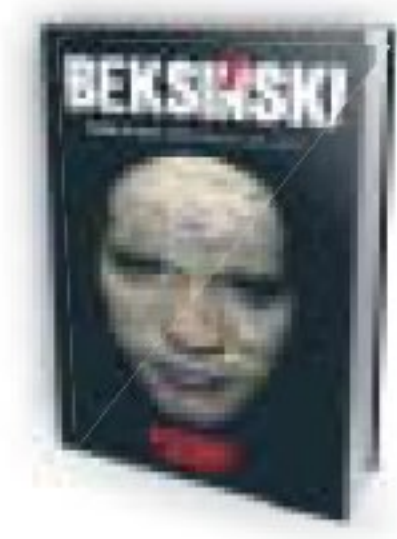
ry fotograficznej na najwyższym poziomie technicznym, wyposażenia warsztatu malarza w produkty trudno dostępne w kraju - stworzył całą sieć kontrahentów dostarczających mu niezbędny towar. Rewanżował się gotówką albo obrazami. Sektor medyczny miał perfekcyjnie opanowany. Bez skrupułów obchodził sektor finansowy. Wydany w 2014 r. zbiór listów Beksińskiego do Jerzego Lewczyńskiego, przyjaciela jeszcze z czasów, gdy obaj robili karierę fotograficzną, przypomina księgę handlową prowadzoną przez właściciela półlegalnego interesu. Uwagi o sztuce czy rodzinie zajmują może 10 proc. miejsca.

Samotnik chojrakuje

Te gry i obsesje widać też w dziennikach, choć wielu rzeczy już nie musiał, poza tym zmienił się ustrój i było łatwiej. Zapiski obejmują końcówkę 12 lat życia, od marca 1993 do lutego 2005 r. Ostatnią notatkę zapisał w dniu śmierci. Skądinąd nic złego się nie zapowiadało. „Rano lekkie zachmurzenie. Temperatura poniżej -1. Czuję się tak, że najchętniej wlaźbym powtórnie do łóżka. W nocy męczyła mnie zgaga, ładowałem się Manti i sodą, potem nad ranem rozboleła dość silnie głowa”.

Obsesyjnie, sam się temu dziwiąc, zapisywał codzienne temperatury powietrza. Badał stan swojego coraz bardziej rozpadającego się organizmu, cierpiał na prostatę, bóle głowy, bezsenność. Po śmierci żony i syna jeszcze usiłował się trzymać życia, coś jeść, z kimś rozmawiać, zbroić mieszkanie przed złodziejami. Klócił się i godził ze swoim francuskim marszandem. Jeździł do Sanoka szykować grób rodzinny. Malował w przekonaniu, że cóż mu lepszego pozostało. Wszystko na pograniczu świadomości, że to i tak po nic. Nawet wisielczy humor, którym się bronił, komentując swój stan zbędnej obecności na świecie, mało mimo wszystko śmieszny.

Czyta się te strony ze ściśniętym sercem. Odwiedziłem go w mieszkaniu na warszawskim Służewiu, czysty przypadek, dwa dni przed morderstwem. Do śmierci szykował się od dawna, ale oczywiście kiedyś tam. Swego czasu myślał, że będzie pierwszy, przed Zosią, a co dopiero przed Tomkiem. Rozmawialiśmy jak zawsze, trochę serio, trochę dowcipkując. Pokazywał mi nowe obrazy, wydawał się po staremu miły i przyjazny. Dopiero z dziennika dowiedziałem się, jak straszliwie był samotny. Pomimo że do końca chojrakował. „Chce mi się płakać. Gówno! Beksiński, nie rozklejaj się”.



Beksiński. Dzień po dniu kończącego się życia. Dzienniki. Rozmowy

ZDZISŁAW BEKSIŃSKI,
JAROSŁAW MIKOŁAJ
SKOCZEŃ

MD, Warszawa